

s. Dorota KOSTKA*

PO CO NAM KOLANA?

Rzeczywistość *sacrum* i *profanum* przenika nasze życie niezależnie od tego, czy jesteśmy tego świadomi, czy też nie. Dotyka nas niezależnie od powołań i życiowych funkcji, jakie pełniimy. Zetkniemy się z nią zarówno w świątyni, jak i na łonie natury. Zaabsorbowani życiem nie zauważamy nieraz, że jest bardzo blisko – w drugim człowieku, który, podobnie jak my, zmagają się ze swoim „ja” i domaga się miłości. Ważne jest, abyśmy nie lękali się poszukiwań, które otwierają nas na „nowe”. Może się to dokonać jedynie w relacji, dlatego warto przyjrzeć się swojemu stosunkowi do Boga, bliźniego i swojego własnego wnętrza.

Niedawno natrafiłam – zdawałoby się przypadkowo – na książkę znanego i cenionego jezuitę o. Józefa Augustyna *Intymność i wolność. Spotkanie z Jezusem*. Jako wytrawny znawca dusz autor już w pierwszych rozdziałach wyjaśnia czytelnikowi, co by się stało, gdybyśmy się modlili, gdybyśmy się modlili więcej, szczerze, z miłości. Zaznacza też, że bez modlitwy ludzkie serce po prostu się psuje. „Jaka modlitwa, taka doskonałość, jaka modlitwa, taki dzień cały” – pisał św. Brat Albert Chmielowski [*Pisma...* 2004: 266]. Obserwując życie i otaczającą nas rzeczywistość, trudno nie zgodzić się z tymi słowami: bez modlitwy ludzkie serce wciąż będzie nienasycone. „Nigdy człowiek nie jest tak wielki jak wtedy, gdy klęczy” [Dobry Papież 2022] – uwaga świętego papieża Jana XXIII jest krótkim dopełnieniem powyższych spostrzeżeń.

Słowa kluczowe: świątynia, *Ecce homo*, spotkanie, człowiek, Kalatówki, pustelnia, dobry jak chleb, albertynki

„UPADNIJ NA KOLANA...”

Pierwsze słowa znanej nam wszystkim pieśni skłaniają do refleksji: przed kim albo przed czym jesteśmy w stanie „ukłęknać”. Czy w ogóle mamy taki zamiar? W uszach i w sercu brzmi: „Święty, Święty, Święty” (pisane koniecznie dużą lite-

* Zgromadzenie Sióstr Albertynek Posługujących Ubogim (ZSAPU).

ra), ale z jakim spotyka się dziś odzewem? Czy w tych czasach „potrzebne” jest nam *sacrum*?

Wychowałam się w górach i lubię po nich chodzić (choć już dawno nigdzie nie byłam), a przez kilka lat dane mi było mieszkać w zakopiańskiej Pustelni św. Brata Alberta na Kalatówkach. Prosta obserwacja wspinających się osób nasuwa myśl, że wychodząc w góry, człowiek musi się pochylić. Nie da się iść z ciągle podniesioną głową. Owszem, co jakiś czas sprawdzamy znaki na szlaku i karmimy oczy pięknymi widokami. Serce popycha do tego, by osiągnąć szczyt i zobaczyć rozległą panoramę. Ten swoisty doping wiąże się z wielkim wyczekiwaniem: co zobaczę, jak świat wygląda z tej perspektywy. I choć widok może być mi już dobrze znany, zawsze będzie świeży, bo na dziś, na teraz. Aby jednak tam dotrzeć, koniecznie trzeba patrzeć pod nogi.

Dlaczego o tym piszę? Bo góry uczą stawania w prawdzie. Czy wybieram się w pojedynkę, czy z kimś? Kto jest moim towarzyszem? Dlaczego? Bywa, że osoba idąca obok mnie uświadamia mi mój egoizm, brak wyrozumiałości, cierpliwości... Zdarza się też, że wprawia mnie w podziw, gdy widzę, że znosi te same trudy, radzi sobie z nimi inaczej niż ja i dodaje mi odwagi, motywuje – chce, abyśmy osiągnęły cel wspólnie (a może ze względu na moją słabość towarzyszy mi w bezpiecznym powrocie na dół bez osiągnięcia tego celu?).

Czasoprzestrzeń i ludzie w nią wpisani, towarzysze mojej drogi. Nieważne, czy ta droga prowadzi na szczyty, czy też wiedzie przez ulice miast i wsi. Prawda o mnie wybrzmi tak czy inaczej. Prawda o moich ograniczeniach, postrzeganiu ludzi przez pryzmat ich zalet (czy wad?). A może będzie to dla mnie powód do radości, bo mogę się czymś podzielić, rozwijać zdolności, których nie byłabym w stanie zauważyć, żyjąc w innych warunkach?

ŚWIĄTYNIA ŚWIATA

Kiedy organizowałam rekolekcje dla młodzieży i planowaliśmy wyjścia w góry, zawsze staraliśmy się dobrać trasę tak, aby każdy dotarł do celu i mógł się nacieszyć widokiem roztaczającym się ze szczytu. I nie chodziło jedynie o nasycenie oczu, zadowolenie z pokonanej drogi (łatwiej nie znaczy lekko). Powraca na myśl wspomnienie grupy dziewcząt, z którą sporo czasu przesiedziałam na Sarnich Skałkach i wciąż za wcześnie było na to, aby schodzić. Ta cisza, w której człowiek dotyka nieba, i otaczające piękno wyzwala ją z nas uczucia, o które nieraz trudno w codzienności. Chciałoby się, aby to się nie skończyło... „Niebiosą są moim tronem, a ziemia podnóżkiem nóg moich. Jakież to dom możecie Mi wystawić i jakież miejsce dać Mi na mieszkanie? Przecież moja ręka to wszystko uczyniła i do Mnie należy to wszystko” [Iz 66,1-2a] – jak bumerang powracają słowa zapisane przez proroka Izajasza. Serce mocniej bije w niemej adoracji. „Ale Ja patrzę na tego, który jest biedny i zgnębiony na duchu i który z drżeniem czci moje słowo” [Iz 66,2b]. Jak w tej świątyni pod sklepieniem nieba nie uczcić Tego, którego sło-

wo zapoczątkowało wszystko? Jak nie dziękować za to, że sam, w Jezusie Chrystusie dotknął ludzkiej biedy?

ŚWIĘTY SPOKÓJ

Kościół – chwila ciszy, którą chcę spędzić z Bogiem. Czas pieczołowicie wykrojony spośród wielu (w sumie niewielu) godzin dnia. Zbieram myśli, nastrajam serce, a nawet klęczę, wiedząc, przed Kim... Nagle ten błogi nastrój zakłócają szelest kurtki i głośne kroki ubranej w nią osoby. Chwila wyczekiwania i... niestety siada obok mnie. Kręci się, nie zdając sobie pewnie sprawy z tego, że oto w tej właśnie chwili nadchodzi dla mnie czas wielkiej próby. Świdrujący uszy dźwięk staje się coraz bardziej nieznośny i mam wielką ochotę po prostu wyjść. Jakże blisko od *sacrum* do *profanum*... Jak łatwo zburzyć święty – zdawałoby się – spokój. Czy moje serce i kolana nie klóćą się w tej chwili z sobą? „Świętymi bądźcie, bo ja jestem święty” [Kpł 11,44b] – słowo Boże przecina moje zamiary. Nie, nie wyjdę.

„A jak się siostra modli?” – zapytała kiedyś jedna z dziewczyn. Albertynka (czyli jedna z moich siostr) odpowiedziała z wielką prostotą: „Tak zwyczajnie. Kiedy stoję na przystanku albo idę ulicą, modlę się za ludzi, którzy są obok. Na przykład: gdy widzę matkę z dzieckiem, proszę Boga, by dał jej potrzebne siły i zdrowie oraz środki na to, aby mogła je wychować. Modlę się też za jej męża, rodzinę, aby się wspierali. Gdy mijam młodego człowieka, proszę, żeby dobrze odczytał swoje powołanie, znalazł kogoś, z kim przeżyje życie, żeby wykorzystał dobrze swoje talenty itd.”. Jak mi wstyd. Jak mi wstyd, mój Boże, że mając Cię tak blisko – w świątyni (!) – zamykam się w piekielku mojego egoizmu. Przysyłasz mi człowieka, który – nieświadom niczego – mówi o mnie aż za wiele. I kiedy zaczynam się za niego modlić, zupełnie zapominam o nieszczęsnej kurtce, która wyprowadziła mnie z pozornej równowagi.

WYJŚĆ Z SIEBIE

W pewien słotny, listopadowy dzień ruch w naszej zakopiańskiej Pustelni zupełnie zamarł. Nigdzie żywej duszy: ani turystów, ani pielgrzymów. Generalnie pogoda nie nastrajała do opuszczania zacisza klauzury. Popychana jednak jakąś wewnętrzną siłą wyszłam na drogę prowadzącą do schroniska na Kalatówkach. Od strony Kuźnic nadchodził jakiś młody człowiek. Nie wiedząc czemu (dziś już wiem), czekałam, żeby go zagadnąć. Sporo mnie to kosztowało, bo musiałam przełamać swoją wrodzoną nieśmiałość. Szło opornie, bo turysta wcale nie zamierzał podejmować rozmowy. Czułam jednak bardzo mocno, że muszę z nim nawiązać kontakt. I jest! Stało się! Lody puściły i niebawem okazało się, że miałam do czynienia z niedoszłym samobójcą. Niedoszłym, bo przerwałam jego wędrówkę na Giewont, z którego zamierzał skoczyć. Dziękuję Bogu za dar Jego Ducha, który

wyprowadził mnie z pustyni (Pustelni) i uzdolnił do zbawiennej zaczepki. „Gdybyśmy się więcej i lepiej modlili...” – śmiem powtórzyć za ojcem Augustynem – z pewnością bylibyśmy bardziej wrażliwi i ulegli wobec wewnętrznych natchnień do przełamywania swoich ciasnych ograniczeń. To zdarzenie było dla mnie niewątpliwym dotknięciem *sacrum* – nie tylko przez posłuszeństwo Duchowi Świętemu, ale i przez spotkanie z tajemnicą ludzkiej duszy, która dramatycznie szukała zrozumienia.

PUŁAPKA UPREDZENIA

Swego czasu angażowałam się (zresztą jak wiele moich współsióstr) w posługę podczas wigilii organizowanej dla osób potrzebujących. Krakowscy franciszkanie udostępniali w tym celu krużganki łączące klasztor z bazyliką, a za całość przedsięwzięcia od strony kulinarnej (przewidzianego na ponad 1000 osób) odpowiadała nasza siostra pracująca w kuchni Caritasu. Kiedy już wybrzmiały słowa oficjalnych życzeń kierowanych ze sceny, a zespół kleryków rozpoczął koncert kolęd, nastąpiły życzenia indywidualne, co wprowadziło pewne zamieszanie rejestrowane skwapliwie przez kamery i aparaty fotograficzne (wszak to wydarzenie medialne). My z racji pełnionej posługi trwałyśmy przy wyznaczonych stanowiskach do wydawania, dzieląc się opłatkiem jedynie z osobami będącymi w pobliżu. Z racji wyniesionego z poprzednich lat doświadczenia odpowiadałam za miejsce tuż przy drzwiach prowadzących do bazyliki. Naszym zadaniem było nie tylko nakładanie gorących dań do naczyń roznoszonych przez wolontariuszy, ale także pilnowanie, aby nikt tędy do świątyni nie wchodził.

„Rybka dla pani przy tamtym stole, a temu panu jeszcze ziemniaki...” itd. Ktoś się spóźnił, ktoś nie chce siedzieć akurat w tym miejscu... Uwijamy się. Wolontariusze spoglądają na zegarki (w domach już na nich czekają), a przed nami jeszcze rozdawanie paczek i sprzątanie. Wśród tego ferworu zauważam człowieka, który dopiero co wszedł z ulicy. Sunie prosto w naszą stronę. Utyka. Chcę mu oszczędzić niepotrzebnego wysiłku i przejęta prawie wołam do niego: „Proszę pana, tutaj nie ma przejścia! Proszę do stołu, zaraz wszystko podamy”. Nie reaguje, choć słyszy. Podchodzi do mnie i odchylając kurtkę, wyciąga z wewnętrznej kieszeni zawinięty w serwetkę opłatek. „Siostrzyczko, połamać się chciałem...”. Drżącym głosem składa życzenia. A mnie wstyd. Nie spodziewałam się. Jakże łatwo stracić okazję do prawdziwego spotkania. Otrzymałam więcej, niż byłam w stanie dać. To do mnie przyszedł wtedy Bóg. Tak mocno i dobitnie, że pamiętam to spotkanie do dziś.

PODAĆ RĘKĘ

Krakowski Salwator. Razem z dużą grupą sióstr z mojego rocznika czekam na autobus, który, jakby wystawiając na próbę naszą cierpliwość, nie chce przyjechać. Czekamy jednak wytrwale, przesuając w palcach koraliki różańców. „Kto róża-

niec bierze w dłonie, to tak, jakby Maryję chwycił za rękę” – usłyszałam kiedyś i tak mi zostało. Jakoś raźniej czekać, choć ziąb wielki. W pewnej chwili tuż obok nas zatrzymuje się dwóch mężczyzn. Wyraźnie czegoś od nas chcą, bo mówiąc coś, zwracają się w naszą stronę. Lekko się chwieją. Jest sens rozmawiać? Zastanawiam się, ale ostatecznie razem z jedną z sióstr robimy kilka kroków w ich kierunku. Podchodząc, zdejmuję rękawiczkę i na przywitanie podaję rękę pierwszemu. „Siostra zdjęła rękawiczkę...” – widzę spadającą na policzek łzę i wielkie, zdumione oczy. Kto i kiedy zobaczył w nim człowieka? Czy ktoś zapytał go, dlaczego znalazł się na ulicy? Ta lekcja człowieczeństwa miała miejsce 30 lat temu i wydaje mi się, że wciąż niedostatecznie ją odrabiam. Boże, proszę Cię za tych, dla których życie stało się zbyt ciężkie...

DWA ŚWIATY

Dom opieki. Czuwamy przy łóżku umierającej mieszkanki. Już prawie nie może mówić i zdziwionym wzrokiem pyta: „Czy to już?”. Nie chce odchodzić. Za wcześnie. Nie teraz. Święty, doniosły moment, który nie ominie nikogo z nas. Razem z tą bliską nam osobą stajemy u progu wieczności, ale wejście w nią tylko ona. Czuwamy przy niej – siostry i rodzina. Towarzyszymy modlitwą. Widzę jednak, że wzrok umierającej często gdzieś ucieka. Idę za nim... Odczytuję tytuł brukowca studiowanego przez nią co dzień, bo zawsze chciała być na bieżąco. Kto, z kim, gdzie, za ile, kiedy itd. Żyć życiem innych, gdy moje własne jest tak blisko? I teraz, przy tym łóżku spotyka się *sacrum* i *profanum*. Boże, ratuj! Jezu, ufam Tobie! Módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej. Wykonało się. Amen. Spoglądamy na umęczone ciało... Gazeta leży na swoim miejscu.

PO CO?

Muzeum Archidiecezjalne w Krakowie. W ramach Roku Świętego Brata Alberta odbywała się tam wystawa czasowa obrazów i pamiątek pozostałych po naszym Założycielu. Wspierając kustoszy w weekendy, towarzyszyłam zwiedzającym. Przychodziły całe grupy i osoby, które chciały przeżyć spotkanie ze Świętym bardzo osobiście (zachodziły nawet kilkakrotnie, zatrzymując się na długo). Czasami dyskretnie przyglądałam się im z boku. W pierwszym pomieszczeniu, do którego wchodziło się wprost z klatki schodowej, wyeksponowany był obraz *Ecce homo*. Widziałam nieraz ludzi, którzy chwilę wcześniej żywo dyskutując, po przekroczeniu progu sali klękali przed wizerunkiem Chrystusa w cierniowej koronie. Tonęli w ciszy, klęcząc pokornie w samym środku galerii. Świat się zatrzymał. Czy to zasługa sztuki? Na ścianach wisiało wiele obrazów.

„Królu niebios, cierniem ukoronowany, ubiczowany, w purpurę odziany, Królu znieważony, opluwany, bądź królem i panem naszym tu i na wieki. Amen” [*Pisma...* 2004: 275] – modlił się przed swoim dziełem Święty. Za nim tymi samymi słowami odczytywanymi z obrazka modlą się zwiedzający. Dobrze, że te obrazki tu są. Ludzie skwapliwie wkładają je do kieszonek i torebek. Pewnego dnia zauważam parę młodych stojących przed obrazem. Trzymając się za ręce, modlą się cicho. Ona i on. Królowi miłości powierzają swoją miłość. Święta cisza karmiona miłością. Po obejrzeniu całej wystawy jeszcze wracają przed obraz, uśmiechając się tajemniczo.

Bywają też i inni: arogancy, wszytkowiedzący – podobni do tych, których nieraz próbowałam wprowadzić w *sacrum* w naszej Pustelni na Kalatówkach czy w sanktuarium Ecce Homo Świętego Brata Alberta. Daremnie. Oni kolan nie zegną. Eksperci od wszystkiego. Nawet od świętości, którą rozpatrują w sobie znanych kategoriach. „Trzeba być dobrym jak chleb” [o. Bernard od Matki Bożej 1938: 135] – powtarzają wielokrotnie słowa, którymi drogę świętości wykuwał Adam Chmielowski. Jaki chleb? Taki świeży, pachnący...

Późny wieczór. Wszystko boli, czyli jest dobrze. Tak ma być, aby od troski o innych bolały i ręce, i nogi, i głowa... Tak chciał Brat Albert. To jest ta „trudna miłość”, która im więcej daje, tym więcej otrzymuje. Paradoks Ewangelii.

Kaplica – ziemia święta mojego zakonnego domu. Luksus dotykania nieba – jest na wyciągnięcie ręki. Klęczę przed Jezusem w tabernakulum, próbując ogarnąć miniony dzień. Dziękuję za tę szczyptę wiary, którą codziennie we mnie pomnaża. Ma być dla mnie drogocennym skarbem. Czy tak jest? Wielki, nieskończony Bóg pod postacią chleba. Zawsze świeży, zawsze pachnący. Częstuje całym sobą, a ja nieraz nie czuję głodu albo karmię się za mało. Za mało, żeby się dobrze od Niego uczyć, za mało, żeby o Nim mówić, za mało, aby nie zapomnieć, że wszystko jest łaską... Pan jednak leczy mnie z moich ograniczeń i kompleksów. „Wy dajcie im jeść” [Mt 14,16b] – polecił apostołom, a chleb się znalazł, i to w nadmiarze, bo zebrali pełne kosze resztek. Na wadze czasu kładę dzisiejsze *sacrum* i *profanum*. Co przeważy?

LITERATURA

- Augustyn J., 2018, *Intymność i wolność. Spotkanie z Jezusem*, Wydawnictwo M, Kraków.
o. Bernard od Matki Bożej (karmelita bosy), 1938, *Duchowość Brata Alberta*, Kraków.
Dobry Papież, 2022, <http://dobrypapiezjan.blogspot.com/2014/04/mysli-papieza-jana-xxiii.html> (dostęp: 18:05.2022).
Pisma Adama Chmielowskiego (św. Brata Alberta) (1845-1916), 2004, Wydawnictwo Instytutu Teologicznego Księży Misjonarzy, Kraków.
Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, 1980, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań.

WHY DO WE NEED KNEES?**Summary**

The reality *sacrum* and the *profane* permeates our lives, whether we are aware of it or not. It affects us regardless of the vocations and life functions we perform. We will encounter it both in the temple and in the bosom of nature. Absorbed life, we sometimes do not notice that it is very close – in another person who, like us, struggles with his „I” and demands love. It is important that we do not be afraid of the search that opens us to the „new”. This can only be done in a relationship, so it is worth looking at your relationship with God, your neighbor and your own interior.

Keywords: temple, *Ecce homo*, meeting, human, Kalatówki, hermitage, good as a bread, albertine